

Adam Miklasz

OSTATNI MECZ



Kraków

NIECHCIANY DESZCZ

– Napierdała.

– No, dokładnie. Tak pogrzebowo z deka – odpowiedział Pasza Ruchanowi i nie musiał bardziej werbalizować swoich myśli, rozumieli się praktycznie bez słów, komunikowali od lat wyrzucanymi jakby od niechcienia pojedynczymi słowami – co absolutnie im wystarczało. W ten deszczowy poranek obserwowali świat z perspektywy przyosiedlowej bramy i mogliby jeszcze dodać, że w harmonijnym świecie wszystko musi być sprzężone. Mogliby dodać, że skoro jest pogrzeb, skoro jest stypa, skoro jesteście w Nowej Hucie, to właśnie rzęsisty deszcz jest idealnym rozwiązaniem. Ale w sumie po co – skoro przecież rozumieli się bez słów?

SEBASTIAN

Zdjął przyciasną marynarkę i spodnie w kancik, które zawsze go wkurzały, cisnął je z nienawiścią na podłogę, upił łyk herbaty i uruchomił laptop – wszystko to w przeciągu kilkunastu sekund. Sebastian był świetnie zorganizowaną osobą i obsesyjnie nienawidził marnotrawienia czasu.

Chętnie informował o swoim zabieganiu, pozornie narzekając na wieczny brak czasu, wiadomo jednak, że z tej swojej

aktywności życiowej był cholernie dumny. Była dziewiąta rano – Sebastian doskonale wiedział, że zasługuje na jakieś trzy, może cztery godziny snu, przecież w pociągu ze Szczecina nawet nie zmrużył oka, a wcześniej długie rozmowy, debaty, przemówienia... Na polu zawodowym wypełnił zadanie niemal w stu procentach. Wykład pt. „Współczesne realia sztucznej inseminacji na wschodniej Ukrainie” był jednym z najbardziej kontrowersyjnych, a więc interesujących punktów corocznej szczecińskiej konferencji naukowej.

– Ale pewnie chłop zdycha! – uśmiechnął się sam do siebie, wspominając jeszcze popołudniową libację alkoholową z profesorem Karpiną. Profesorek sam jest sobie winny – to jemu zależało na spotkaniu, to on pierwszy zaproponował czystą pięćdziesiątkę bez przepicia, to on wyraźnie liczył na pogrążenie smarkatego doktora, lecz niedoczekanie jego! Nie wiedział, biedny, że staje w szranki z najprawdziwszym Gumiozem, wbitym jedynie dla niepoznaki w roboczy strój doktorski, więc pewnikiem czeka go poranna zasłużona kara, zwana tutaj kac-gigantem. A jakże – była wina, był grzech pychy – musi być kara!

A oto kolejny przykład doskonałej organizacji czasu – w tym samym momencie, gdy na ekranie laptopa pojawiło się długo oczekiwane tło, oczywiście w barwach ulubionego klubu, Sebastian odebrał trzy telefony, a chwilę potem przejrzał pocztę, której zawartość zupełnie go nie zaskoczyła. Oprawa przygotowana, na koncie nowe wpłaty – to będzie już ponad tysiąc za ten miesiąc!

„Zajebicie chłopaki, robicie dobrą robotę!” – napisał zbiorczą notkę dziękczynną na forum internetowym, po

czym zajrzał jeszcze do działu o enigmatycznym tytule: „Dziadzia”.

„Spoko, nie ma chętnych, to zajmę się tym!” – poinformował wszystkich forumowiczów, bo ta sprawa to dla niego, Sebastiana, była faktycznie bułka z masłem.

Czas na sen. Trzy godziny? Nie, dwie czterdzieści pięć wystarczy...

ZŁY SEN KŁOCA

Były prezes Kloc spał wyjątkowo źle. Do tego stopnia, że zbudził się mocno wystraszony, z twarzą oblaną potem. Nie rozumiał tego, sen miał zazwyczaj wyjątkowo krzepki. Może to starczy organizm w jesieni życia szykował mu jakieś przykre niespodzianki? Bo przecież podświadome wyrzuty sumienia równie podświadomie wykluczał. Kloc próbował zrekonstruować sobie chaotyczne zdarzenia senne – ich bilans był tragiczny. Na początku jedynie splądrowano mu działkę oraz podpalono domek letniskowy. Sąsiedzi dziwnie nań spoglądali, podczas snu miał poczucie wyobcowania, stanu, kiedy wydaje się, że albo cała ludzkość oszalała, albo to z nami jest coś nie do końca w porządku. Nie mówiąc już o tym, że odkłaniali mu się, zapominając o jakże ważnej formułce „panie prezesie!”. Na koniec była afera z „Domem Grzybiarza”, którym już od dwóch lat zarządzał.

– Trzeba uważać na tych pieprzonych młodych z CBA! – westchnął sam do siebie, a były to pierwsze słowa po przebudzeniu. Po nich nakazał żonie przygotować kawę Inkę oraz jajka po wiedeńsku, nadchodziła przecież pora śniadania. Na domiar złego za oknem padał rzęsisty deszcz.

LIPA Z DESZCZEM

– Kurwa, lipa straszna z tym deszczem! – Pasza przestał zachwalać aurę jako najbardziej dopasowaną do emocji związanych z wieczornym wydarzeniem sportowym. Wokół niego stało kilku młodszych, wszyscy odkryli wreszcie odpowiednie zastosowanie kapturów w bluzach z groźnie wyglądającymi nadrukami buldogów lub pitbulli. Pasza, niski i gruby, ale bardzo dobrze zbudowany, wzbudzał respekt i był formalnym liderem grupy. Ruchan, choć starszy i wyższy, traktowany był mniej poważnie, choć to właśnie on, a nie muskularny kolega, miał już zaliczoną przymusową odsiadkę. Być może wpływ na mniejszą estymę miała głupawa ksywka, której wbrew pozorom nie zawdzięczał wcale nadmiernemu temperamentowi seksualnemu. Wszystko przez kiepski wzrok Ruchana, któremu literka „A” wydała się literką „R”. Pewnego dnia zapytany, gdzie nabył sześciopak mocarnych za niecałe siedem złociszy, polecił ciekawskim zakupy w znanym hipermarkecie o francuskojęzycznej nazwie, przekręcając ją.

– Nie klei się w tym deszczu. Kurwa! – jeden z młodszych wyraźnie się sfrustrował i dodawał sobie otuchy kolejnymi wulgaryzmami.

– To klej tak, żeby się kleiło! – Paszę trudno było zbić z tropu, był mistrzem lapidarnej riposty. – Jak nie idzie, to na chama! – wyrwał plakat nieudolnemu małolatowi, wylał sporą warstwę kleju i ciężarem swego cielska przycisnął kawałek papieru do muru.

Ostatni mecz. Dziś o godzinie 16.30 nasi chłopcy zagrają po raz pierwszy w historii przy sztucznym oświetleniu. Kibicu! Obecność obowiązkowa!

Plakat piękny, kolorowy, zdjęcie dwóch grajków w bojowej pozie, trzymających futbolówki pod pachami i patrzących na siebie wrogo, zdjęcie skopiowane pewnie z jakiejś zręcznościowej gry komputerowej lub starej walki bokserskiej. Wyżej herb klubu, nad herbem świecące jupitery. Jupitery, które przez całe sześćdziesiąt lat istnienia Hutnika były niezrealizowanym marzeniem wszystkich kibiców – od najmłodszych do najstarszych.

DEFENSYWNY POMOCNIK MARZY O „HARNASIU”

Przed ważnym meczem naprawdę trudno jest zasnąć. Defensywny Pomocnik, mimo niemal juniorskiego wieku, wiedział o tym dobrze, pewnie dlatego podrasował się przed snem dwoma puszkowymi harnasiami. Myślał sobie wtedy:

– Może to będzie mój ukochany Harnaś? Może to właśnie oni, ci enigmatyczni „oni” od Harnasia przyjdą na mecz, zobaczą tłumnie zgromadzonych wiernych kibiców, ambitnych piłkarzy w większości od dzieciństwa związanych z klubem i dzielnicą, i zdecydują się nas wesprzeć, wykładając na początek 5 milionów złotych, które klub zalega wielu różnym instytucjom? Fajnie by było tak biegać sobie ze znaczkiem Harnasia, zapierdziałałbym jeszcze szybciej! Przecież El Kapitano mówił, że tylko szalony sponsor może nas uratować! Czy w Harnasiu są kolesie, którzy nie pękają przed ryzykiem, mają gesta, trochę szaleństwa i nas uratują? El Kapitano mówił, że nie ma już takich firm, wszyscy mają w dupie piłkę, wszyscy mają w dupie Hutę i Hutnika, nie pomoże też miasto, nie pomogą firmy, których zresztą jak na lekarstwo, nie pomogą urzędy, nie pomoże nikt... Ale może ci z Harnasia? Będą akurat przejeżdżać, wbiją na stadion rozkminić, co tam

się dzieje, obczają, podniecą się i wezmą na klatę utrzymanie drużyny? – Dziecinnie i uroczo naiwny Defensywny Pomocnik, znany z ostrej gry i beznadziejnej skuteczności, usnął w kiepskim nastroju, obudził się za to w zdecydowanie lepszym...

SEN O JUPITERACH

Chłopcy od Paszy wykonali kawał dobrej roboty. Podobnie jak dwie pozostałe grupy osiedlowych wolontariuszy, którzy w kilka dni poobklejali plakatami niemal całą dzielnicę. Pozostało tylko posprzątać, wyszorować krzeselka znajdujące się pod zadaszoną częścią stadionu, a pozostałe przykryć folią. Pracy było sporo, ponadto aura nie sprzyjała. W plajtującym klubie piłkarskim nie było już nikogo odpowiedzialnego za taką błahostkę jak czystość trybun. Mokre jesienne liście pokryły większość brudnych krzesełek, pozostałe wymieszały się z odpadkami z poprzednich meczów – starymi gazetami, kiepami, plastikowymi i szklanymi butelczynami. Ktoś nawet, ku radości ogółu, znalazł zużytą prezerwatywę. Jednak sprzątnięcie tego bajzlu to dla tak licznej, około sześćdziesięcioosobowej grupy, jakieś, bagatela, dwie godziny pracy. Szybkiej, efektywnej i sprawnie zorganizowanej – należy dodać! Wszyscy uczestnicy mieli przecież świadomość, że tuż za rogiem, w lokalu o profilu konsumpcyjnym, czeka nagroda w postaci złocistego trunku.

– Ej, jak to kiedyś było z tymi jupiterami? – spytał starszyznę jeden z bardziej zaaferowanych szesnastolatków. Historię tę pewnikiem znał, tak jak znała ją większość ekipy, wiadomo jednak, że przyjemna gawęda umiła i koi trudy

pracy fizycznej. Dlatego grupa małolatów z nadzieją zerknęła na kibicowskich seniorów.

– Z tymi jupiterami to zawsze były, kurwa, jaja. To jakieś przekleństwo, fatum jakieś, tyle razy były przymiarki, plany i ciągle nic, gówno... Pokolenia kibiców sfrustrowane, bo przecież takie jupitery to zupełnie inna bania, one centralnie wynoszą zwykły mecz do rangi wydarzenia sportowego, widowicho zupełnie inne, aż chce się ryja drzeć! A tu, kurwa, przyjeżdża Monaco z Barthezem, Legia, Widzew za Smudy czy Psiarnia, a meczyk, kurwa, o trzynastej, jak na C-klasowym wygwizdowie – tuż przed festynem! Cystersi z tym w dupę pchanym miejskim architektem ciągle problemy robili – że jupitery zasłaniają zabytek klasy zero, czyli klasztor, jacyś pierdolnięci zieloni kwiczeli, że ptaki z łąk się płoszą, a nasze pizdy, prezesi, jeden po drugim flaszками pojeni, kiwali głowami i smrodzili, że się nic nie da zrobić... – tak sobie gawędził najbardziej medialny przedstawiciel starszyny, człowiek, którego prześmiewczy pseudonim „Docent” mówił wiele o jego zdolnościach narracyjnych, natomiast Pasza, wyczekując dyskretnie z boku, zdobył się na jakże trafną puentę:

– Teraz, jak tu Psiarnia z Żydkami będą grały, to jakoś nie ma problemu! Nas to zawsze góra ruchała...!

WĄTPLIWOŚCI JULKI FOTOGRAFKI

– O nie! – zdenerwowała się Julka, zwana potocznie w okolicy Julką Fotografką z powodów czysto zawodowych, bo, przynajmniej w dzielnicowych rewirach, widziano ją tylko i wyłącznie w towarzystwie nowoczesnego i nietaniego sprzętu,

którym już od lat rejestrowała życie dzielnicy. Ten aparat był ekwiwalentem przyjaciela, z którym za każdym razem potrafiła świetnie się bawić, narzeczonego, z którym uskuteczniała romantyczne spacery, oraz kochanka, z którym zdarzało jej się nawet sypiać. Zaczęła wcześniej, jeszcze w licealnym kółku fotograficznym, i już wtedy, dzięki specyficznemu spojrzeniu na obraz, kolor i formę, dzięki niebanalnemu podejściu do tematu zdobyła lokalną sławę oraz kilka nic nieznaczących nagród na nikogo nieinteresujących dzielnicowych konkursach fotograficznych. Julka przede wszystkim jednak połknęła bakcyła, jak to powiedział w pożegnalnym przemówieniu do maturzystów dyrektor szkoły. Wspominając o bakcyli, życzył jej sukcesów na niwie fotograficznej, był przekonany co do owych sukcesów i jednocześnie rozczarowany jej wyborem kierunku studiów. Julka uderzyła w polonistykę, nie zapominając jednak o zdjęciach. Co najważniejsze – rozwijała się, czytała specjalistyczne czasopisma i podręczniki, wygrywając dzięki temu coraz poważniejsze konkursy i zdobywając większą, wykraczającą już poza granicę dzielnicy, popularność.

Nastąpił wreszcie ten moment, kiedy Julka powiedziała dość. Koniec drążenia, przyuczania, wykonywania zdjęć na polecenie autorów podręczników, pracy według praw, zasad, kanonów! Nadszedł czas na znalezienie własnej drogi, własnej formy wyrazu. O tym nasza Julka doskonale wiedziała, a że obiektem jej największego zainteresowania była zawsze ukochana dzielnica – nie musiała długo szukać. Bardzo szybko, bo w wieku dwudziestu czterech lat, została okrzyknięta fenomenem i nadworną fotografką Nowej Huty. Kochała brud, kochała odrapane mury, kochała rdzę, kochała prawdziwe, nieskażone zewnętrzną ingerencją brutalnej



jupitery na stadionie Hutnika, jesień 2011

popkultury i cywilizacji, życie. Miała też swój prawdziwy koniczek, cienką gałąź bogatej gry zainteresowań twórczych, którą najbardziej umiłowała. Były to napisy na murach. Akurat przestało padać, więc wybrała się w upatrzone wcześniej miejsce, aby sfotografować nowe znalezisko, które zakwalifikowała do kategorii „napisy o funkcji informacyjnej”. Niestety, piękny w swej prymitywnej formie napis BOSAK KAUFIDENT znalazła pod warstwą plakatów zachęcających do przyjścia na ostatni mecz.

– O nie! – wściekła się wściekłością maniaczki i poczuła bezradność, bo przecież plakatu klubu, który według niej był jednym z ważnych symboli dzielnicy, nie zerwie! – Ale mnie zdenerwowali! – mruknęła do siebie i natychmiast zaczęły ją targać wątpliwości – pomyślała o zemście. – Wezmę i im na ten cholerny mecz nie przyjdę! – szepnęła do siebie z wściekłością, wiedząc jednak, że zrezygnowanie z takiego wydarzenia nie będzie wcale łatwe.

SEBASTIAN ZNOWU W TRANSIE

Dwie godziny i czterdzieści trzy minuty – oto dokładny czas drzemki Sebastiana. Zerwał się dokładnie dwie minuty wcześniej i nie było w tym nic wyjątkowego. Sebastian miał jakiś dziwny lęk przed dźwiękiem budzika. Był osobą szalenie poukładaną i może bał się, że jeśli nie obudzi się, zanim zabrzmi alarm, to braknie mu handicapu czasowego? Dzięki temu jego organizm wyrobił sobie niezwykłą umiejętność – Sebastian budził się zawsze jakieś dwie, trzy minuty przed czasem. I znowu stuprocentowo pewna metoda szybkiego powrotu do świata żywych – włączenie laptopa, nastawienie kawy, kilka minut higieny osobistej i można już spokojnie,

z czystym i rześkim umysłem zacząć załatwiać różne sprawy. W ten szczególny dzień spraw było naprawdę sporo. Telefon do Gerdy – tak, pirotechnika załatwiona, przeznaczono ze składki kibiców jakieś sześćset złotych, Gerda ma faktury na stowarzyszenie. Bomba! Telefon do Jędrycha – programy meczowe są gotowe, nakład dość optymistyczny, bo pięćset egzemplarzy, pierwsza i ostatnia strona w kolorze, ZdzichdruX dał zniżki, pchnął trochę na lewo, więc faktur nie będzie. Sprzedajemy po dwa złote? Może być! Na co idzie całkowity dochód? Może na korki dla środkowego obrońcy? Podobno gra w tych badziewnych starociach już dwa lata. Jasne, trzeba tylko zgody kibiców!

Sebastian skończył etap rozmów organizacyjnych, nadeszła pora, aby poświęcić chwilę forum internetowemu, które było dla kibiców źródłem informacji o finalizacji wszystkich zorganizowanych akcji i składek.

„Wszyscy na stadion! Pokażmy, że żyjemy!” – napisał jeszcze przed zamknięciem laptopa i ubrał się pospiesznie. Czas odwiedzić wspaniałego człowieka. Azymut – Dziadzia!

DEFENSYWNY POMOCNIK SYPIA ZDECYDOWANIE LEPIEJ OD KŁOCA

– Cholera jasna, chyba żem lekko przegiął! – sapnął jeszcze w łóżku Defensywny Pomocnik i pogłaskał się odruchowo po łysince, bo przecież trudno nazwać włosami kilkumilimetrową warstwę puchu na głowie. Defensywny Pomocnik nie był jakimś szalonym entuzjastą spania, tym razem było mu jednak autentycznie żal, bowiem przerwany został sen, w którym spełniały się jego najpiękniejsze marzenia. Rozpoczął się mecz, on, w blasku jupiterów, drepcząc tuż za

legendarnym El Kapitano, pojawia się na murawie. W tle patetyczna muzyka, to chyba były jakieś „Rydwany ognia”, może „Gladiator”? Wokół na trybunach tłumy wpatrzone z uwielbieniem w swoją ukochaną drużynę. On dyskretnie zerka w kierunku łoży. Jest! Zauważył ją. Siedzi owinięta szalem, ze swoim nieodłącznym atrybutem – wystrzałowym aparatem fotograficznym.

Sąsiadeczka podobała mu się od lat. Początkowo wymieniali jedynie ukradkowe spojrzenia, z czasem doszli do krótkich, zdawkowych konwersacji o dupie marynie. Czuł, że to coś, co w filmach nazywają miłością. Przecież on, boiskowy twardziel, nigdy nie miał problemów z płcią piękną, lecz to co innego niż te wszystkie znajome dupcie, seksowne osiedlowe niunie, które często się śmieją, często przeklinają i takich jak on – utalentowanych piłkarzy – cenią. Defensywny Pomocnik zawsze miał w zanadrzu kilka wyłechtanych haseł-kluczy, które torowały mu drogę do serc i innych organów niewieścich niczym dokładne podanie w czeską uliczkę. Wiedział jednak, że na sąsiadeczkę to za mało. Próbował z nią dwa razy i, choć nie spotkał się z radykalnie niechętną reakcją, zrozumiał, że tani bajer jest w tym przypadku nie na miejscu. Ostatnia próba była tak żenująca, że do tej pory starał się, bez skutku, wymazać ją z pamięci: przyuważył ją przed sklepem, udawał, że nie widzi, nie odpowiedział początkowo na grzecznościowe „cześć”, aby po chwili, pozornie oprzytomniony, dodać: „przepraszam, nie zauważyłem, to chyba blask twoich oczu mnie oślepił”.

– Nie, to pewnie flesz aparatu! – odpowiedziała mu z szelmowskim uśmiechem i właśnie wtedy zrozumiał, że nie tędy droga.

Na stadionie, w świetle jupiterów, wyglądała niczym gwiazda filmowa. Obok w łoży grubi panowie z cygarami w gębach – pewnie wysłannicy klubów pierwszoligowych, tak zwani skauci, szperacze, łowcy talentów. On strzela bramkę w pierwszych minutach, co już samo zakrawa na sen, bo nasz Defensywny Pomocnik goli strzelał wyjątkowo mało. Potem niespodziewanie wbiega na murawę wściekły pies. Skąd wiadomo, że wściekły? Nie wiadomo, we śnie wszystko jest przecież tak oczywiste... Ten wściekły pies zbliża się do malucha podającego piłki, jęzor zwisa mu aż po pięknie przystrzyżoną murawę, z pyska toczy się piana, a wszyscy zamierają z przerażenia. Wtedy on, jedyny przytomny na całym stadionie, bierze futbolówkę i porządnym kopem trafia bestię prosto w łepetynę! Po takim ciosie pies, otumaniony, pada na murawę, a cały stadion na stojąco oklaskuje bohatera. Stoi i klaszcze też ona... I tak straszliwie szkoda, że właśnie w tym momencie otworzył oczy i uświadomił sobie, że jest już późno, bardzo późno, że na ekranie telefonu wyświetliły mu się cztery nieodebrane połączenia i najwyższy czas wrócić do świata żywych.

– Halo. Cześć, Sebastian, sorki, że nie odbierałem, ale centralnie przyspałem... Jak? Bezproblemowo, lajt, będę gotowy za 15 minut! Spoko!

UPADEK FLAKONA 1

Stał w kolekturze przy Alei Róż i od kilkunastu minut gapił się w ekran telewizora. W jednej dłoni kurczowo ścisnął kupon, u drugiej nerwowo obgryzał paznokcie. Flakon, niegdyś człowiek-instytucja, legenda przynajmniej kilku osiedli starej części dzielnicy, był strzępem człowieka. Wysoki,

lecz bardzo zgarbiony, z pierwszymi siwulcami na głowie, z przekrwionymi od alkoholu oczami oczekiwał z nadzieją, lecz i strachem, ostatecznego rozstrzygnięcia. Rozstrzygnięcia kwestii życia. Wstrzymał się więc z obgryzaniem, zerknął na komunijny zegarek i wyszedł na papierosa.

BALLADA O KIBICACH Z KRAJU KSIĄŻĄT

– Jest na tip-top! – Ruchan chwilowo przejął obowiązki lidera grupy, podczas gdy Pasza z kilkoma chłopakami ćmił na pożegnanie papierosy i z dumą obserwowali pracę podopiecznych. Wszystko zaczynało nabierać pozytywnych kolorów, zostało kilka godzin do pierwszego gwizdka, a stadion wyglądał niczym kościół przed wizytą biskupa. Oni swoje zadanie wykonali – teraz wkraczali kolesie od pirotechniki i oprawy meczowej, którzy, niczym stadionowy Steven Spielberg, z dokładnością co do sekundy opracowali scenariusz ostatniego meczu w rundzie. Zebrali się również grafficiarze, którzy pracowali nad projektem plastycznym, mającym ożywić i upiększyć odpychające kasy stadionowe. Analizowali spokojnie wygląd owych kas, szacując kosztorys takiego przedsięwzięcia. Suma, jaką dysponowali, nie wystarczy, by zaspokoić ambicje kibiców, ale projekt porwał ich tak bardzo, że zdecydowali się wnieść w pracę własny wkład. To jednak mało interesowało grupę Paszy, która z poczuciem spełnionego obowiązku obrała za azymut ulubiony lokal o jakże jowialnej nazwie „Baryłeczka”.

– Zasłużyliśmy na porządną pianę! – orzekł medialny przedstawiciel starszyny i grupa śmiało wkroczyła do baru, okupując wszystkie stoliki i wszystkie automaty do gry, czyli jednoręcznych bandytów, nazywanych niekiedy wciąż

flipperami. Sam scenariusz był dość prosty – z początku interesujące gawędy starszyny, opiewające chwalebny historię klubu, potem delikatne, nieśmiałe przyspiewki, na koniec chóralne pieśni i wspólny przemarsz na stadion. Starszyna, grupa trzydziestolatków, najwięcej miała do powiedzenia na temat lat dziewięćdziesiątych – tych obfitujących w sukcesy. Tak – wtedy klub był fenomenem, kołysanką, pieśnią pocieszenia dla zaniedbanej dzielnicy. W latach wczesnego kapitalizmu, upadku kombinatu, masowych zwolnień, przemocy i kryminałki na ulicach, w dobie beznadziei, rzeźbienia i łamania charakterów, żalu do nowego porządku, poczucia oszukania – bo przecież to mieszkańcy tej właśnie dzielnicy najzardziej walczyli z systemem, a po jego zmianie właśnie oni dostali najbardziej po zadku – klub był jedynym utuleniem, jedynym powodem do dumy, jedynym znakiem, że to dogorywające miejsce jest przy życiu. Halo, uwaga, jeszcze żyjemy, wieści o naszej śmierci są lekko przesadzone! Pierwszy zagraniczny bramkarz, pierwszy utalentowany murzynek, cała horda jak zwykle szalenie utalentowanej młodzieży z dzielnicy, „polski Ajax”, hodowla juniorów – i oto nasz skromny klub, pozostawiając za swoimi plecami nie tylko krakowskie tuzy, wywalczył trzecie miejsce w kraju! „Europa zawita w Hucie!” – głośiły nagłówki gazet, nie tylko lokalnych, ale i ogólnopolskich, i choć w tym hasle była być może lekka nutka ironii, mieszkańcy czuli wówczas nieskrywaną dumę. No i Europa przyjechała, najpierw jakaś jej namiastka prosto z Azerbejdżanu, Czesi z Ołomuńca też nie okazali się jakąś oryginalną atrakcją, ale na koniec przygody z pucharami los sprawił drużynie i kibicom piękny prezent – wizytę w Nowej Hucie książęcej drużyny milionerów prosto

z Monako! Co to wtedy było za wydarzenie! Proletariacki Hutnik kontra arystokratyczne Monako z gwiazdami światowej piłki w składzie, wozy transmisyjne stacji Eurosport, przy których Telewizja Polska wydawała się zupełnie nieznaną atrakcją, podniecenie wśród zwykłych mieszkańców, kibiców i szalikowców. Tu, na chuligańskiej scenie, pojawił się kilkunastoletni Pasza, który bardzo chciał dokonać bohaterskiego czynu bojowego. Zdobyć trofeum Monako – szalik, flagę, czy chociaż dać jakiemuś ichniejszemu kibolowi po głębie – taki akt z pewnością pozwoliłby ambitnemu szczeniakowi awansować o kilka szczebli w kibicowskiej hierarchii. Pasza z Ruchanem nerwowo spacerowali, obserwując rozstawianie się policji i służb porządkowych na stadionie.

– Gdzie oni są, przecież w gazetach pisali, że przyjedzie kilkunastu kiboli z tego Monako, a tu nikogo nie ma!

– Może speniali... – sceptyczny Ruchan nie dodawał kumpłowi otuchy, po chwili jednak, w zupełnie nieoczekiwanym miejscu, przyuważyli kilkanaście czerwono-białych szali.

– Zobacz, cwaniaki na łoży się schowali! – Chłopcy zreflektowali się, że niewielka łoża dla VIP-ów jest prawie nieobstawiona przez służby porządkowe, zdecydowali się więc działać; owe czerwono-białe szaliki działały na nich niczym magnes. Skąd mogli wiedzieć, że kibiców jako takich w bogatym księstwie milionerów nie ma, na mecz przyjechało jedynie kilkunastu związanych z klubem biznesmenów w modnie skrojonych garniturach znanych projektantów. Ubrany w zwykłą ortalionową kurtkę, czapczkę bejsbolową z napisem „Suzuki” i białe buty firmy „Fifa” Pasza wpadł wraz z Ruchanem i jeszcze kilkoma innymi małolatami w tę rewiewę mody równie szybko, co niespodziewanie.

– Dawaj, kurwo, szalik! – wrzasnął do lekko zszokowanego wiceprezesa banku i zdenerwowany brakiem konkretnej reakcji wyrwał mu atrybut kibica i ukarał niesubordynację pożegnaniem nowohuckim liściem w schłodzoną perfumami Pierre Cardin twarz. Podobną czynność wykonał Pasza wobec siedzącego obok wiceprezesa dawnego niemieckiego tenisisty, który osiadł w Monako ze względu na niskie podatki. Kasowali osobę po osobie, rząd po rządzie. Kolejne ofiary były jednak bardziej karne i, widząc, w czym rzecz, oddawały pokornie szaliki, dorzucając jeszcze, od czasu do czasu, jakieś kilka dolarów. Ostatni z siedzących szalika nie miał, więc Pasza z Ruchanem zupełnie nie zwrócili na niego uwagi, ten jednak chwycił kogoś z nich za brudny ortalion, szepnął delikatnie: „Garsą”, wyciągnął z kieszeni siatkę czekoladek Ferrero Rocher i poczęstował nastoletnich chuliganów.

– Lepszy obciach był z Treneiro! – odezwał się wreszcie rozochocony piwem Ruchan, a młodzież z rozbawieniem słuchała tych autoironicznych historii stadionowych starszych kolegów (niektórzy z nich, gdy klub z Monte Carlo zawitał w Hucie, nie przystąpili jeszcze do Pierwszej Komunii Świętej!).

– W tym Eurosporcie pokazywali go, kurwa, na okrągło, pamiętasz? – spytał Ruchan Paszę, chcąc pewnie wymusić na koledze pociągnięcie wątku.

– Dokładnie! Żuł, frajer, gumę, zbliżenie na niego zrobili, bo dał ryja na piłkarzy, no i nagle ta guma mu przez to darcie ryja wypadła. Czaicie, koleś się schylił, podniósł z trawy gumę i wsadził ją z powrotem do mordy! Najgorsze, że jakiś cwel kamerzysta to namierzył, no i Treneiro został gwiazdą



nowohuckie graffiti, jesień 2011

stadion Hutnika – brama główna, zima 2011/2012



SPIS TREŚCI

Niechciany deszcz / 5

Sebastian / 5

Zły sen Kłoca / 7

Lipa z deszczem / 8

Defensywny Pomocnik marzy o „Harnasiu” / 9

Sen o jupiterach / 10

Wątpliwości Julki fotografki / 11

Sebastian znowu w transie / 15

Defensywny Pomocnik sypia zdecydowanie lepiej od Kłoca / 16

Upadek Flakona 1 / 18

Ballada o kibicach z kraju książąt / 19

Upadek Flakona 2 / 25

El Kapitano to jest gość! / 28

Konfuzja El Kapitano / 29

Pierwsza rozterka moralna Sebastiana / 31

Druga rozterka moralna Sebastiana / 32

Dzia dzia jak Turbodymomen – zawstydził kibiców! / 32

Upadek Flakona 3 / 35

Wspomnienia z jednorękimi w tle / 36

Upadek Flakona 4 / 44

Serce rozumu nie ma / 47

Komu Julka fotografka wyznała miłość? / 47

Upadek Flakona 5 / 53

Kręta droga z Koklusznowic
do ciemnej strony miasta / 55
Wiszący apacz gwiazdą Eurosportu / 60
Gorsze czasy / 64
Miękkie lądowanie / 66
45 minut przed pierwszym gwizdkiem sędziego / 74
Upadek Flakona 6 / 82
Julka rozpoczyna wielkie pstrykanie / 83
Pikniki dopisały / 83
Noc jak w operze / 85
Uśpione trybuny / 88
Sardyńkowy delegat podejmuje Kloca / 90
Bomba? / 91
Komunikat spikera / 92
Festiwal pieśni bez tańca / 92
Kazimierza Kloca bilans życia / 94
Powrót Apacza / 100
Upadek Flakona 7 / 104
List Apacza / 104
Upadek Flakona 8 / 104
Przerwa. W szatni / 109
Fiesta na trybunach / 109
Ostatnie momenty ostatniego meczu / 115
„Zaraz przyjdzie Treneiro!” / 119
Sponsor czy łosoś / 121
Temat teczek znudził Julcię / 126
Powolne zmartwychwstawanie Flakona / 129
Dziwadło / 130
Powolne zmartwychwstawanie Flakona 2.o. Lękwiec / 134
W zawieszeniu / 142
Say no to modern football! / 144
Zmierzch bogów / 150
Koniec początkiem / 154